

Kronika tygodniowa.

O ile mi się zdaje, to w bieżącym roku Pańskim 1918, będę miał głównie do czynienia z rozmaitemi „Odpowiedziami Redakcyi i kronikarza“ w sprawach mniej lub więcej osaoistych. Zastrzegam się, że nie na wszystkie korespondencje, skierowane pod moim adresem, odpowiadam, a to choćby tylko z tego powodu, iż w danym wypadku kronika tygodniowa musiałaby się zamienić na rubrykę „Odpowiedzi“, a to chyba nie byłoby wskazaniem, choć nie powiem, by nie było dla niżej niepodpisanego wygodnem, uwalniając go raz na zawsze od łamania sobie głowy nad wyszukiwaniem materiału, co, jak już kilkakrotnie miałem zaszczyt zaznaczyć, nie należy bynajmniej do zbytich przyjemności.

Dzisiaj, zanim rozpocznę właściwą kronikę — a na porządku dziennym jest sprawa pierwszorzędnej znaczenia, bo złożenie sprawozdania, jak spędziłem święta Wielkanocne — muszę przedewszystkiem przeprosić Szanowną „Rodaczkę“, która z okazji kilkogodzinnej pokuty w Krakowie, raczyła „znanemu i kochanemu kronikarzowi“ wyznaczyć randkę na dzień 23. marca w cukierni Noworolskiej.

Niestety, nie mogłem pospieścić na wezwanie, dla czego zaś, zaraz postaram się wytłumaczyć.

W wielkopostnym czasie tak gorliwie umartwiałem ciało, a z niem i ducha, tkwiącego w tym fatalnie, iż zdrowie moje, bardzo zresztą delikatne, zaczęło nieco szwankować, a ja, zmuszony okolicznościami, stałem się gorliwym stołownikiem łacińskiej kuchni, ale także wojennej. wobec czego musiałem sobie przez pewien czas odmówić przyjemności spaceru na Nową Wieś, gdzie, jak wiadomo, rozłożyły swe Lary i Penaty *Nowości Ilustrowane*.

Właśnie wtedy nadszedł ów list od „Rodaczki z Berna“, ale do moich rąk dostał się dopiero w dniu 26. marca, więc *post festum*...

I w tem właśnie tkwi przyczyna, że nie mogłem się stawić w oznaczonym czasie i miejscu. Miał mnie wprawdzie ochotę zastąpić jeden z kolegów redakcyjnych, który przedemną list przeczytał, ale będąc sam żonatym, a nadto mając teściową, zrezygnował w ostatniej chwili z karygodnego, jak mu się może i słusznie wydawało, zamiaru.

Koniec końców mimowoli poszedłem w ślady biblijnego Józefa, na którego cnotę czyniła zasadzki pożądliva Potyfarowa i wyszedłem zwycięsko z tej próby, ale tylko dlatego, iż tak się okoliczności złożyły... Na tego rodzaju wezwania nie powinno się pozostać głuchym, choćby tylko z tego powodu, że się ma do czynienia z pięcią nadobną, a tej należą się pewne szczególniejsze względy.

Na jedno jeszcze muszę zwrócić uwagę Szanownej „Rodaczki“. W liście swym zaznacza, że na to chyba „Weronisia pozwoli“, gdyż „Rodaczka“, mieszkająca daleko od Krakowa, a bawiąca tutaj tylko przez kilka godzin, nie może być niebezpieczną dla szczęścia i spokoju małżeńskiego“. Radzi mi ją też w tym kierunku udobruchać...

Otóż, co się tego tyczy, to ja, jako głowa domu robię zawsze tylko to, co się mi podoba, nikogo o pozwolenie nie pytając, w drgim zaś wypadku o żadnem „udobruchaniu“ nawet mowy być nie może. Wszelkie zakusy w tym względzie byłyby bezprzedmiotowe. Weronisia ma bowiem swoje zasady, od których ani na cal nie ustąpi, a specjalnie na punkcie wierności małżeńskiej jest nadzwyczaj drażliwa.

Niechaj jednak „Rodaczka“ nie myśli może, że ja z rezygnacją poddaję się swemu losowi, zepchnięty delikatną rączką mej połowicy do wcale wygodnej roli „pantfii“. Broń Boże!... Jak już wyżej zaznaczyłem, jestem głową domu i zawsze o tem pamiętam, choć z drgłej znów strony przyznać muszę, że jest szyja, która tą głową kręci jak jej się podoba.

Ową szyją jest właśnie zacna Weronika.

Nie wyklucza to przecież możliwości bym od czasu do czasu nie potrafił, jak to powiadają, postawić na swoim. Próbuję tego nieraz i niejednokrotnie mi się to udaje.

O! nie tak dawno temu, bo bezpośrednio przed samymi świętami, przyszło między nami do lekkiego małżeńskiego nieporozumienia na tle aprowizacyjnem. Ja w tym kierunku mam swoje zdanie, Weronisia swoje, a ponieważ zdarzyło się właśnie, że te oba zdania nieco się między sobą różniły, przyszło między nami do lekkiego starcia... Weronika jest popędliwą (w jej żyłach płynie krew włoska...) wobec czego, nauczony długoletniem doświadczeniem, wybrałem sobie bezpieczny odcinam, to jest ułokowałem się pod stołem, wciągając stamtąd:

— A co mi zrobisz?...

Nie było mi tam wygodnie, ale w każdym razie

bezpieczniej niż na wolnem powietrzu (a trzeba przyznać, że moja lepsza połowa może się poszczycić znakomitą wprawą w używaniu „granatów ręcznych“) nie myślałem więc opuszczać swego „dekunku“, co wreszcie i jej się sprzykrzyło. Kazała mi s amtyd wyleźć, ale ja oświadczyłem jej krótko i stanowczo, że jestem panem domu, mogę więc siedzieć jak długo mi się zechce i spodoba. Ostatecznie przyszło - do rokowań pokojowych, ja jej obiecałem dostarczyć maki ukraińskiej, ona zaś zdecydowała się „przebaczyć mi wyjątkowo jeszcze tym razem“ i znów zapanowała między nami miła zgoda i harmonia.

Jak z tego Szanowna „Rodaczka“ widzi, na samodzielności mi nie zbywa, jestem panem swojej woli i nawet przyznam się, że bardzo nie lubię, jeśli kto w tym kierunku wyrasta pewne powątpiewanie. Nie zjawiłem się u Noworolskiego nie z zakazu więc Weroniki, jakby może kto myślał, ale z powodu fatalnego zbiegu okoliczności. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze!... Polecam się na przyszłość, zaznaczając, że najodpowiedniejszym byłby czas, gdy mój f.ancymmer bawi na letnich wywczasach, gdyż wtedy mam więcej swobody i mogę dowolnie swą osobą dysponować.

A teraz zaczniemy z innej beczki.

Do świąt wielkanocnych przygotowywaliśmy się bardzo skrupulatnie, gromadząc w tym celu przeważnie nie zapasy różnych smakołyków, ale wspomnienia lepszej przeszłości. Dziś święta owe należą także do przeszłości. W niedzielę obchodził je ogół, w poniedziałek Zwierzyciec, we wtorek Podgórze, w przewodnią niedzielę wreszcie i Kleparz i na tem się skończyło. Przedwojenny baranek, ozdoba stołu świątecznego, powędrował znów do szafy, by tam oczekiwać lepszych koniunktur, choćby już w roku najbliższym.

Tegoroczne święta nie powinny mieć nawet pretensyi do tego m'ana, świętami bowiem nie były bynajmniej. Staropolskie tradycje musiały pójść w ką, znana nasza cnota gościnności nie znalazła pola wdzięcznego do popisu!

Smutne to, a jednak prawdziwe. Na stole świątecznym przeciętnego obywatela rozszerzonego Krakowa, prócz baranka z cukru (o ile go nie zjedzono w międzyczasie), przechowywanego w domowym inwentarzu z roku na rok, solniczki, ale tylko z solą, a bez pieprzu i karafki z wodą, nie właściwie nie widział. Nie też dziwnego, że i miny biesiadników, jeśli tak się ich nazwać godzi, były odpowiednio dostrojone, a raczej rozstrojone. Winszowano sobie na sucho, przypominając sobie dawne lepsze lata, kiedy nieczego w tym okresie nie brakowało.

A dzisiaj?...

O dzisiejszych kłopotach nawet wspominać nie warto, bo przykra rzeczywistość wyciska grubą łzę z oka, skazanego dziś na bezrobocie, gdy dawniej pasło się widokiem różnych specyaliów. Nie wyklucza to przecież, że i dziś spotkałeś jeszcze tu i ówdzie szczęśliwca, który mógł sobie pozwolić na całą szynkę, ugarniowaną odpowiednią ilością różnych kiełbas, ozorów i tym podobnych delikatesów, że zdobiły stoły torty i baby (pieczone, nie żywe!...), ale takich szczęśliwców, którzy mogli sobie na podobny zbytek pozwolić, było mało. Ja sam znalazłem się na tego rodzaju świętęconem, nie ustępującem pod żadnym względem przedwojnemu.

Aby gospodarstwa nie obrazić, nie zaś z takomstwa, jadł też człowiek, aż mu się uszy trzęsły. Pan domu zachęcał do dalszego ciągu, nikt zaś nie odmawiał, już choćby tylko z tego powodu, że taka gratka nie tak prędko się znów powtórzy, bo, jeśli tężniemy dalej zwyciężać, w tem samym tempie co dotąd, następne święta muszą się przedstawić w jeszcze czarniejszych kolorach.

Wszystko ma swój koniec, miała go też i staropolska gościnność pana domu, który, widząc z jakim pospiechem nikną mozołnie nagromadzone zapasy w otchłaniach brzośnych szanownych gości, a chcąc ratować bodaj resztki, postanowił uciec się do podstępów. Zaczął więc nosem kręcić, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że ta szynka nie jest zupełnie świeża!... Zwracam na to uwagę panów, gdyż nie chciałbym mieć nikogo na sumieniu...

W gronie owych biesiadników znajdował się i aptekarz, który słysząc te słowa, odparł:

— To bardzo pięknie się składa!... Jeśli państwo zepsujecie sobie żołądce, proszę pamiętać o mej aptece... Mam zawsze wszystkie środki na składzie.

I prawdopodobnie celem zachęcenia innych, by sobie zepsuli żołądki, nabrał jeszcze raz szynki na talerz, a gospodarz obrzucił go tęsknym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

— Panie Boże!... Ty widzisz, a nie grzmisz!...

Ale, jak się już wyżej rzekło, takich domów, gdzie holdowano staropolskim tradycjom, dając folę obłarstwu i pijaństwu, było mało, można je prawie na palcach jednej ręki policzyć. Reszta liła łapę i przeżuwała dawne wspomnienia...

Dobrze przynajmniej, że pogoda nam dopisała, wobec czego, nie mając nic lepszego do roboty, można było pójść bodaj na spacer.

Tak też, a nie inaczej, uczynił kronikarz i to w oba dni świąt i wyszedł na tem dobrze, nie mogąc bowiem nasycić odpowiednio swego ciała, ukontentował bodaj dachą pięknymi widokami budzącej się do nowego życia przyrody.

Miałem rozum, że w poprzedniej kronice nie dałem się unieść bujnej wyobraźni i nie opisałem jak spędziłem święta. Przypuszczałem, że spotka nas jaka niespodzianka i bynajmniej się nie pomyliłem. Pierwszy dzień świąt miał sobie być zwykłym dniem, dopiero na poniedziałek zwracałem szczególniejszą uwagę, zeszło się bowiem wówczas sporo różnych okoliczności, mających ścisły związek z życiem mieszkańców Krakusowego grodu.

W pierwszym więc rzędzie cieszył się każdy pensją, o ile ją dostał, jeśli się zaś dowiedział, że wybrał ją już zaliczkami, zaczynał sobie łamać głowę nad wynalezieniem nowych źródeł dochodu i narzekał, że ten miesiąc jest wyjątkowo ciężki. W innych miesiącach do najgorszych się liczą ostatnie dwadzieścia ośm dni, w kwietniu całe trzydzieści!... Czarna melancholia kąsa człowieka po łydkach na samą myśl, że przez trzydzieści dni z rzędu, ledwie tylko oczy stworzy, musi westchnąć:

— Skąd tu dziś wziąć pieniędzy?...

Do tego już przyzwyczailiśmy się, nie może to więc być policzonem na karb niespodzianek.

Natomiast prawdziwą niespodzianką było, iż choć w tym dniu przypadał pierwszy kwiecień, prawie nikt nikogo nie zwodził. Przez rok cały doznaliśmy tyle zawodów, że bodaj w tym jednym dniu starano się od nich uwolnić.

Kto tak myślał, myślał dobrze.

Na porządku dziennym był również „Smigus“ i „Emaus“. Oba wypadły bardzo mizernie. Lano, ale przeważnie wodę, na Zwierzyniec pociągnęło sporo ciekawych, którzy wracali potem z tradycyjnymi trąbkami, gwizdками i podobnymi, uprzyjemniającymi spokojny żywot przedmiotami, wymyślonymi na pociechę młodego pokolenia, a utraپienie starych.

I *blaumontag* nie był też niespodzianką. Obchodziliśmy go prawie wszyscy, choć bowiem nie jesteśmy szwecami *de facto*, możemy się przecież przyznać do ich koleżeństwa, mając przeważnie podarte buty, co, jak wiadomo, jest cechą charakterystyczną członków tej szlachetnej korporacyi, której *blaumontag* jest przywilejem. Powiedzieć przecież się musi, że dzisiejszy *blaumontag* nie wytrzymuje bynajmniej porównania z dawnym, należącym już, niestety, do tradycyi.

Zito niespodzianką prawdziwą sprawiło nam zapowiedziane na dzień pierwszego kwietnia wprowadzenie czasu letniego.

Z tem zaś rzecz miała się mniej więcej w ten deseń.

Od dłuższego już czasu zapowiadano głośno, iż każdy, posiadający „sikorę“, o ile mu życie miłe, winien ją w dniu pierwszego kwietnia, a raczej jej wskazówki, cofnąć o godzinę, by w ten sposób rozpocząć urzędowo czas letni. Ze względu na żonaty wybrao porę nocną z niedzieli na poniedziałek i wszystko byłoby już w zupełnym porządku, gdyż przygotowania poczyniono należyte, gdy nagle z Berlina nadeszła wieść, że wprowadzenie urzędowego czasu letniego odkłada się na piętnastego kwietnia.

Ile na tem tle było nieporozumień małżeńskich, łatwo sobie wyobrazić, zwłaszcza jeśli się zważy, że odwołano ogłoszenie zbyt późno, tak iż nie każdy szczęśliwy posiadacz zegarka, mający się zabrać do tej urzędowej czynności, mógł je przyjąć do swej wiadomości.

Była więc niespodzianka, gdy mąż wrócił rano do domu, a żona pyta:

— Skąd pan o tym czasie?

— Wiesz, duszko — brzmiała odpowiedź dość niepewna — że trzeba było wyregulować zegarek!...

— Tak! Uważam, że wyregulowałeś się dokumentnie, ale widocznie zapomniałeś o tem, że zaprowadzenie letniego czasu urzędowego odłożono na połowę kwietnia!

— Co ty mówisz!... Nic o tem nie wiedziałem... Ale nie moja wina!... Dawniej czytywałem stale *Kurgerka* i wiedziałem czego się trzymać, dziś jest człowiek bez n'ego „jak tabaka w rogu...“ Nie do mnie więc miej pretensję, ale do tych, którzy go zawiesili!

Ponieważ to, co robi się w poniedziałek, powtarza się potem, tak przynajmniej mówią, przez cały tydzień, nie mogliśmy *eo ipso* narzekać na brak niespodzianek.

